

# OKOLICA POETÓW

## MIESIĘCZNIK

R. I. — NR. 8.

15 LISTOPADA 1935.



ALFRED ŁASZOWSKI: JUŻ DOSYĆ KRAJOBRAZÓW

STANISŁAW PIĘTAK: ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ

MARJAN PIECHAŁ: NORWID W PARYŻU

STEFAN NAPIERSKI: DO PUŁKOWNIKA GODEBSKIEGO

GRZEGORZ TIMOFIEJEW: DON KICHOT

JÓZEF CZECHOWICZ: W BOJU

IGNACY FIK: METAFIZYKA

JAN OLECHNO: DZISNA

WŁODIMIER PIETRZAK: ECHO DOLINOM

ZENON KOTERBA DZIUBAN: ROZMAWIAMY WIECZOREM

RYSZARD MATUSZEWSKI: POWIETRZNY NIESTATEK

WACŁAW MROZOWSKI: KUSZENIE

JAN BOLESŁAW OŻÓG: WIECZÓR

WACŁAW IWANIUK: WRZESIEŃ

JÓZEF STACHOWSKI: ZBUNTOWANY WIERSZ

STANISŁAW CZERNIK: FRAGMENT

CZESŁAW JASTRZĘBIEC - KOZŁOWSKI: PRZEKŁAD

JÓZEF MONDSCHHEIN: PRZEKŁAD

JERZY KAMIL WEINTRAUB: WIERSZE

STANISŁAW CZERNIK: ATAKI NA AUTENTYZM

RECENZJE

NOTY



REDAKCJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. POPRZECZNA 2.

ADMINISTRACJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. ZAMKOWA 4.

## JUŻ DOSYĆ KRAJOBRAZÓW

Na tem polu nikt nie jest bez winy. Hipertrofia pejzażu w polskiej liryce współczesnej otworzyła przed nami horyzont nudy tak rozległej, że zmuszeni jesteśmy wzbudzić protest, i odwrot, i alarm! Inflacja krajobrazów poetyckich przybrała już rozmiary, świadczące o całkowitym braku wynalazczości na tem polu, oddawna zastanem. Wiemy, jaką rolę spełniał dawniej pejzaż, ta odwieczna baza i łożysko wzruszeń; wiemy, że bez jego pomocy trudno jest w wielu wypadkach dać emocji konkretny równoważnik widzeń, ale chęć zerwania tych krępujących pokrewieństw stanowić będzie o nowym etapie rozwoju awangardowego.

Spróbujmy tylko zważyć. Liryczny obraz świata ukształtowany pod ciśnieniem wzruszeń przeobrażających rzeczywistość naturalistyczną w duchu subiektywnej potrzeby widzenia emocjonalnego — stał się przedmiotem rzeźby uczuć a zarazem ich jedynym ujściem. Jednakże owo skierowanie rzeźbiącego prądu aktywności lirycznej na krajobraz, ten surowiec wizyjnych przekształceń, ograniczyło właściwe życie wzruszenia poniekąd autonomicznego do funkcji ciągłych przemian wyglądu realnego na irracjonalny, tak że obecnie mamy do czynienia z istną manjerą deformacji i stereotypowego ujmowania rzeczy naopak.

W czasach, kiedy pejzaże poetyckie stały się takimi właśnie „odciskami uczuć”, kiedy liryzm trzeba odczytywać na podstawie dokonanych przemian, ponieważ inaczej niepodobna go często wysledzić i zbadać, ambicje wielkich twórców muszą pójść w kierunku odnalezienia jeśli nie nowej, to w każdym razie innej bazy życia irracjonalnego.

Ustawiczne lokowanie wzruszeń na drzewach, wzgórzach i polach, zawieszanie ich na byle gałęzi dowodzi właściwie spacerowego stosunku do rzeczywistości, dziwię się, że marksisci tego dotąd nie zdemaskowali. Poezja powinna już raz skończyć z tem odwiecznem rozpinaniem przeżycia na rzeczach, bo w ten sposób w najlepszym razie powstają dwa pejzaże... przyległe, i krajobraz, będąc podłożem, spełnia jednocześnie rolę metafory uczuć. Coprawda uczucia nie tylko „kładą się” na rzeczach, ale w zetknięciu z nimi przekształcają ich wygląd na wizję poetycką.

Dziś natura jest już przewrócona na wszystkie sposoby; dzięki Przybosiowi i jego naśladowcom ujrzelśmy ją w różnych pozycjach i pozach, wemy, że ta pasja nicowania rzeczywistości była rezultatem wielu potrzeb istotnych, że w niej wyraziła się, być może pośrednio, namiętność rewolucyjnego przekształcania świata, że w tem było odkrycie i przewrót, ale odkąd dynamiczny postulat życia emocjonalnego jednostki stał się techniką, manierą, i nagłminnym chwytem złodziei poetyckich, uważamy za stosowne przypomnieć, że pewne sposoby widzenia świata dojrzały już do tego, żeby z nimi skończyć. Rzeczą krytyki jest pilnie czuwać nad tem, aby samorodne osiągnięcia wskutek braku solidnej ewidencji i kontroli się nie powtarzały.

Ale odebrać poetom prawo do dalszego eksploataowania krajobrazu, może tylko ten, kto wzamian bodaj uchylił przed nimi perspektywy arty-

stycznie skuteczniejszego lokowania uczuć. Moje propozycje na tem polu są wyrazem refleksyj, jakie ogarnęły mnie przy czytaniu poematów społecznych: (Czuchnowski, Peiper!). Związać liryzm z działaniem i akcją społeczną, polityczną, gospodarczą, czy jakąkolwiek inną, wyrażać go za pośrednictwem konkretnych czynności i prac. Niech się w naszych wierszach nareszcie coś dzieje z człowiekiem i światem, musimy wykorzystać dramatyczne możliwości liryzmu, pokazać stawianie się uczuć przez metaforyczną choćby analogję z konkretnem poczynaniem ludzi, którzy orzą, sieją, budują lub walczą, ale w każdym razie robią coś określonego. Dostrzec w rozmaitych formach i postaciach działania żywe równoważniki dziejących się uczuć, sprzęgnąć te procesy, związać i zsynchronizować, niech jedno będzie organicznem dopełnieniem drugiego! Przed poetami otwierają się zbyt mało dotąd wykorzystane możliwości takiej właśnie dramatycznej ekwiwalentyzacji uczuć, które należy konfrontować nie z krajobrazem i nie z martwą naturą, ale z tem co się dzieje, przetwarza, i robi dookoła nas. Zrozumcie: Nie chodzi mi tu bynajmniej o liryczny opis czynności człowieka! Chodzi o to, aby proces tej czynności stał się środkiem służącym do dramatycznego wyrażenia przebiegu i rozwoju wzruszenia rosnącego w was! Zamiast przeglądać się bez końca w pejzażu, dajcie nam nareszcie metaforę czynu. Niech każde uczucie odnajdzie sobie równoważnik działań, a wówczas nie będzie potrzeby uruchamiania rzeczy stałych, martwych. Tylokrotnie ujawniona dążność do kinetycznego ujmowania zjawisk jest może podświadomym wyrazem tęsknoty do takiego właśnie odwzorowania żywiołu lirycznego w żywej pracy ustawicznego przekształcania zjawisk. Liryce nie będzie przecież szło o wyrażanie wielkich procesów całościowych, tak z natury rzeczy wyglądają perspektywy epickie. Ale chyba każde przeżycie potrafi znaleźć swój wykres zewnętrzny w czynnościach, które będą obrazami stanów poety. Oczywiście, te propozycje z konieczności ramowe i ogólne nie roszczą sobie programowych pretensyj. Programy powstać mogą dopiero w zespołach i zależeć będą od inwencji poetów. A więc od dziś rozpoczynamy generalną likwidację krajobrazów i będziemy walczyć przeciw nim tak długo, aż przestaną nas nudzić w poezji. Narazie wielkie S. O. S. Sygnalizujemy: poezja polska w niewoli — patrz pod: pejzaż!

ALFRED ŁASZOWSKI

OD REDAKCJI: Artykuł Łaszowskiego umieszczamy z myślą o dyskusji. Dotykając zagadnień programowych, związanych z ustosunkowaniem się poety do materiału treściowego, autor słusznie podkreśla przerost krajobrazowości i słusznie proponuje poetom inne zespoły tematyczne, zresztą często już realizowane. Sądzymy jednak, że autor pragnąłby zbyt radykalnie przekreślić motyw krajobrazowe. Zostawmy poetom swobodę wyboru tematyki, nie narzucamy im schematów!



## WYMIANA POGLĄDÓW

### XI.

Krótko pracuję nad wierszem, uwagi moje tedy będą mieć charakter płynny: nie chcę rozstrzygać, chcę wytłumaczyć mą wiarę i zwątpienie w sprawach poezji.

W chaosie powszechnego krzyku — w nagonce na Nową Lirykę trudno wyłuskać zdrowe ziarna prawdy. Zakłamanie, zawiść trwają po tej i po tamtej stronie — nie zanosi się na poprawę. Gdy czytam wypracowania krytyki konserwatywnej, nie buntuję się — ogarnia mię tylko melancholja, że tylu ludzi w Polsce ma taki sam stosunek do poezji, jak pp.: X. czy Z. Żalony obraz upadku wrażliwości i smaku.

Poezji spod znaku Skamandra nie odczuwam natyle, by szerzej pisać o niej. Jest ona dla mnie za jednoplanowa, za mało skomplikowana w poetyckim oddawaniu wzruszeń. Bezstronnie przyznaję jednak, że jest to poezja wysokiej klasy (myślę o wierszach Tuwima, Lechonia, Sebyły i inn...) O nowatorskiej poezji, jeśli się jest jej wyznawcą, pisać ciężiej. Plewy mieszają się tu ze szczerem złotem. Słepo służenie teorii mściło się i mści się na niejednym poecie tej grupy. Oddaliśmy się jednak już od futurystycznej blagi, nie mającej pokrycia w wierszu i od formistycznych zachwyty z pierwszych lat 3-go dziesięciolecia tego wieku — można więc pomyśleć i tu o syntezie.

Choć nie ogłaszają już wierszy Ważyk i Peiper, czas dzisiejszy jest mimo to złotym okresem Nowej Poezji. Liryki tak skupionej i prawdziwej, tak głębokiej a zamkniętej w piękny kształt poetycki, jaką sprezentowali nam w najlepszych swoich wierszach Czechowicz, Przyboś, po części i Czuchnowski — rzeczywiście nie powstydziliby się żadna z wielkich literatur zachodnich. Lecz tej liryki nie można chwycić na ostrze wzruszenia od razu jak piosenki, tą liryką nie trzeba się bawić jak wierszami à la Rydel czy Asnyk — z nią trzeba jak z dławiacym pomysłem wiersza długo chodzić, trzeba ją przeżyć już nietylko zmysłami, lecz i duszą.

Czas 1932 — 1935 roku dał Awangardzie kilka nowych indywidualności poetyckich, które w od lat nienaruszonych murach Grenady: Peipera i Ski. zrobiły wyłom. Punktem wyjścia dla tych „nowych ludzi“ była walka z rzeczywistością, dlatego przeciwstawili się oschłości formalnej swoich starszych kolegów; rozpętali w sobie żywioł poezji, na opanowanie go zabrakło im jednak siły, a raczej doświadczenia, dlatego ugrzęźli w chaosie. Wiek młodości nie jest wiekiem kłęski, dlatego trudno mówić o kłęsce Zagórskiego, Łobodowskiego, Czuchnowskiego (Reporter róż), czy choćby mojej (Alfabet oczu).

Wielkim złem dla Awangardy jest, że nie ma ona bezstronnego a zarazem walczącego krytyka w swoim obozie. Niema przeto dotąd nietylko studjów o całokształcie poezji nowatorskiej, ale nawet sprawiedliwej i rzeczowej oceny poszczególnych poetów: Przybosia, Zagórskiego, Czuchnowskiego i inn. Jeśli chodzi o naszą krytykę poetycką, która zasila się ostatnio nowymi ludźmi, nasuwa mi się jeszcze jedna uwaga: nie powinno się recen-

zować makulatury poetyckiej, która zalewa rokrocznie nasz rynek — pisać natomiast i szeroko winno się o dobrej książce, a nawet o pojedynczych poematach, ukazujących się w czasopiśmie, jeśli wnoszą one nowe wartości.

Oczywiście stan zainteresowania poezją jest dzisiaj w Polsce nijaki. Jesteśmy poza wszelkiem zainteresowaniem, traktuje się nas jak przeciętnych sportowców w najlepszym razie, nie żyje się naszą treścią. Nie powód to jednak do zmartwienia, poezja i w samotności wykuje swoją wielkość.

Umyślnie nie dotykam naszych spraw wydawniczych, naszego nędznego bytowania. Sentymentalizm jest u nas przecież bardzo modną formą reakcji życiowej. A pozatem — poco? dla kogo? Przecież jeszcze są w Wolnej Polsce ludzie, którzy myślą, że poeta polski płacze nad pieśnią słowika, lub gubi się w słonecznej zamieci. Aż wstyd, że poetę traktuje się u nas jak jakiegoś idjotę, niedouka, marnotrawcę czasu itd... Poszanowania dla naszych uczuć...

Słowa uznania, jakie rzuciłem wobec swoich starszych kolegów, nie świadczą, jakobym sławił bez reszty dzisiejszą Nową Lirykę. Jest ona ciągle pełna skaz, pozatem objawia skłonności ku depresji. Monotonja tematów, monotonja kompozycyjna, uleganie modzie w zakresie słownictwa — oto jej największe niedobory.

Możność poprawy widzę w nas samych. Nie obawiać się śmieszności, nie obawiać się odosobnienia... Za dużo dźlś kanonów społecznych i estetycznych, za dużo Talmudystów i Wyroczeń. Doprawdy niema na co nakładać wędzideł, panowie — dzisiejsza Nowa Liryka staje się znowu zbytnio ryczałtowa, trzeba ją rozpedzić na bardziej elastycznych wehikułach wyobraźni i oprzeć nie o lekturę i błahe, migawkowe wzruszenia, lecz o najistotniejsze przeżycia człowieka.

STANISŁAW PIĘTAK.

## ATAKI NA AUTENTYZM

Niektóre tezy teoretyczne, ogłoszone przeze mnie najpierw w „Kamencie” nr. 7/8 z 1934 r. wreszcie w artykułach „Styl w liryce”, „Dialog o liryce” i „Fantazjotwórstwo poetyckie” („Okolica Poetów” nr. 1, 2 i 4/5) przyjęły się pod krótką nazwą „autentyzmu”. Czytelnicy mogą zaświadczyć, że nie starałem się specjalnie, by termin „autentyzm” rozpowszechnił się, jeżeli się więc przyjął, przypisuję to właściwościom składających się na treść jego tez. Artykuły te zostały potraktowane przez niektórych krytyków przychylnie, przez innych w większym lub mniejszym stopniu negatywnie, naogół wywołały pewne zastrzeżenia. Dotychczasowe zastrzeżenia krytyków były przeważnie marginesowe, mało co mówiące. Dopiero ostatnio rozpoczęła się poważniejszy atak na autentyzm; atak zapoczątkowało Wilno. Najpierw Anatol Mikułko w nr. 3 „Poprostu”, i jeszcze raz, wskutek mojej repliki w temże „Poprostu” (nr. 5). Następnie Mieczysław Kotlicki w „Kurjerze Wileńskim” z 20 paźdź. i Józef Maśliński w nr. z 27 paźdź. Jest

to atak poważny, niemal koncentryczny ogień Wilna, i zmusza mnie do obowiązku obrony. Odrazu zaznaczam, że cieszyłbym się z tej dyskusji, gdyby miała ona cokolwiek inny charakter, chociaż przyznać muszę moim oponentom całkowitą „rycerskość”, uwzględniając ich porywcze, zdaje się, natury. Przykrą stroną tej dyskusji jest to, że potraktowana została, jako atak dla ataku, walka z autentyzmem dla idei walki. I ta okoliczność bezwątpienia obniżyła miły skądinąd poziom dyskusji. Proponuję moim przeciwnikom inny rodzaj utarczek — walkę na argumenty z wykluczeniem broni postronnej i utartych chwytów recenzenckich. Taka bowiem krytyka jaką dali Mikułko, Kotlicki i Maśliński jest tylko przykładem, jak nie należy przeprowadzać dyskusji. Pozorne zwycięstwo w oczach nieznanego się na sprawie czytelnika, pozorne zdruzgotanie autentyzmu prymitywnym chwytem jest właściwie klęską krytyka. Nie chcę przez to twierdzić, że moje uogólnienia są bezbłędne; wszystkie słabe strony „teorii” (jak już niektórzy nazywają) autentyzmu są mi dobrze znane; wiem, że każda teoria rośnie na błędach, które ją wkońcu rozsadzają, toteż lojalnie uznałbym przewagę przeciwnika, i oddałbym mu palmę zwycięstwa. Ale brawurowe bądźcobądź ataki Wilnian zostały tak słabo przygotowane, że można je bez trudu rozpedzić jednym strzałem.

Krytycy, którzy wytaczają przeciw mnie takie kolubryny zarzutów, jak nprz. „dezywoltura metodologiczna” (Maśliński), twierdzący naoslep, czego niedoceniają i czego nie wiem, popełnili wspólnie jeden błąd — nie poznali dokładnie zagadnienia, i krytykę całości przeprowadzają, znając tylko fragment. Operując cząstkowym, a więc zniekształconym materiałem oponenti popełniają błąd za błędem, przypisując mi zapatrywania, które nietylko nie wynikają z moich artykułów, ale w rzeczywistości sformułowane zostały przeciwnie. Taką dowolność, szkodliwą dla dyskusji, popełnia Kotlicki (a i Mikułko także), twierdząc: „źródła tego wykołajenia (autentyzmu) leżą w błędnym stanowisku Czernika wobec zagadnienia formy i treści w dziele literackim. Czernik jest mimo wszystko starym dualistą...” Wątpię, czy to byłby argument, nawet gdybym był wyznawcą dualizmu, ale wskazywać to jako błąd i główny argument do obalenia autentyzmu jest gaffą krytyka wobec faktu, że stanowisko moje wobec dualizmu treści i formy zostało ściśle określone, jako przeciwne, w artykule „Treść i forma” w „Kamienie” a jeszcze dokładniej w moim określeniu formy w artykule „Styl w liryce”.

Inne wywody Kotlickiego na temat odtwarzania doznań bez odchyień i o deformacyjnym wpływie pamięci postawione są tak, jakbym to zjawisko wykluczał. I Kotlicki poucza mnie. A przecież to pouczenie jest też gaffą, jeżeli się zważy, że o tych rzeczach pisałem dokładnie w „Okolicy poetów” (nr. 1, str. 20 i powtarzałem w nr. 4/5, str. 3/4.) Wreszcie zarówno Kotlicki, jak i Maśliński przypisują mi wypowiedzi i sformułowania, których nie dałem, i na tej podstawie rozprawiają się z autentyzmem. Niedość tego, następują pouczenia Maślińskiego: „Wystarczy prymitywnego nawet przygotowania filozoficznego i obycie z metodologią...” Tak, wystarczy, by nie popełniać nieliczących z postawą krytyka błędów. Chodzi tu o zasadę klasyfikacji utworów poetyckich. W artykule „Fantazjotwórstwo poetyckie” dotknąłem mimochodem tego zagadnienia, proponując wprowadzenie no-



wych rodzajów, a przede wszystkim mrohołdów. Maśliński był pierwszym, który pozytywnie ocenił tę propozycję — I jak wieść niesie — ze swego stanowiska zamierza te sprawy formułować. Tu właśnie rzeczowa wymiana myśli mogłaby mieć znaczenie twórcze. Ale Maśliński chwytła moje zagadnienie za nieistniejące rogi — i obala. Nie podoba się Maślińskiemu i tow. moje sformułowanie, że „autentyzm jest zasadą klasyfikacji“. Wmawia mi, że wymyśliłem zasadę psychologiczną i ze względu na autora — przyciśnięty do muru przez Irzykowskiego. To jest mgła i galareta. Oświadczam, że Irzykowski ani razu nie przyciskał mnie do muru, i Maśliński operuje plotką, którą sam puszcza po nieścistej interpretacji mego artykułiku w „Poproście“. A druga plotka to rzekomo moja zasada klasyfikacji ze względu na autora. Skąd to Maśliński wziął, nie wiem. Myślę, że z własnej mgły, gdyż nigdy w ten sposób nie myślałem, a autentyzm, jako zasadę podziału, zawsze wyobrażałem sobie w postaci formalnej. Dowody spotka każdy w artykule „Styl w liryce“, gdzie zagadnienie autentyzmu formy prowadzi do żądania krytyki formalnej. Wprawdzie autentyzm formy wiąże się w moich wywodach korzeniami z autentyzmem treści, ale to nie upowaznia nikogo do twierdzenia, jakobym do oceny lub klasyfikacji dzieł literackich chciał wprowadzać jakieś czynniki pozaliterackie. Punktem wyjścia moich rozważań jest rozpatrywanie procesu twórczego. Ten psychologiczny punkt wyjścia nasuwa moim krytykom błędne przeświadczenie, że jest krążeniem w zamkniętym kole. Tymczasem punkt wyjścia jest punktem zaczętej drogi, która kończy się daleko poza psychologią. Byłbym wdzięczny krytykom, śledzącym moje drogi, gdyby istotnie pomagali mi w wędrówce. To byłaby twórcza współpraca. Niestety, tego nie spotykam. Szanowni krytycy nie zadali sobie trudu dokładnego poznania moich wywodów, i nie mając potrzebnej do dyskusji wiedzy o rzeczy, urządzają gadanie, przytykaninę, pouczenia, dlatego cała ta ktytyka, mająca wykazać moje nieprzemyślenia, jest nieporozumieniem.

Muszę jednak przyznać bez entuzjazmu, że moi krytycy wileńscy przystępowali do rzeczy z dobrymi chęciami. Chociaż bardziej gryźli mnie niż autentyzm, okazali jednak duże umiarkowanie, i nie chcieli mnie całkowicie pożreć. Druga krytyka Mikułki utrzymana w bardzo kulturalnym tonie; Kotlicki działał w dobrej wierze, lecz częściowo tylko znał moje artykuły, do czego lojalnie przyznał się w jednym miejscu; Maślińskim ponosi nieumiarkowanie i traktowanie wszystkich spraw, jako materiału do feljetonu; feljeton udał się, ale krytyka była pod psem. Ostatecznie, nawet z tej dyskusji odniosłem pewien pożytek.

Nie mogę tego powiedzieć o tych krytykach, którzy wykazali kulturę orangutanga, umiającego pisać feljetony. Dowód: „Głos“ poznański z dnia 20 października br.

STANISŁAW CZERNIK.

MARJAN PIECHAL

NORWID W PARYŻU

Zaprowadziły mnie ślady Twych liter  
do tej białej kamienicy pod krzyżem,  
gdzieś się schronił przed niebem piorunami nabitem,  
zwisającym chmurnie nad Paryżem.

Wśród dziewczynek o włoskach złocistej oliwy  
anachroniczna siostra straż trzyma,  
z ogródka pytającą weteran siwy  
spojrzał na mnie Twojemi oczyma.

„Co w Polsce?” — Z niejednego jeszcze obyczaju  
średniowieczną zawiewa wonią.  
„A poeci?” — Liczą rytm swych wierszy, nie kraju,  
i w dzwoneczki fijołków dzwonią...

Weteran patrzy na mnie w milczeniu głębokiem,  
cały złoty w słońca promykach.  
I dotąd jeszcze widzę jak odszedł Twoim krokiem  
i jak furtkę za sobą zamykał.

STEFAN NAPIERSKI

DO PUŁKOWNIKA GODEBSKIEGO

Kiedy dłoń uściskałeś, o! zacny Cypryanie,  
Na rozłąkę tak długą, jak śmierci rozstanie,  
Odchodząc w dymy harmat, jak się idzie w chwałę, —  
Przetrwało twoje dzieło, tak niedoskonałe,  
Zdobne w wawrzyn, i uśmiech szczytny, jak pomniki.  
Dawno legły widmowych przeredzone szyki  
Zamilkły, podmuch uniółś ponad rzekę wrzawę,  
Szczęk oręża i okrzyk warg zamarłych. Trawę  
Skoszono zwiędłą, lutni wyszczerbiwszy rdzawe  
Struny, by nie zabrzmiały w nieuczonym ręku.  
Nie wracaj głosić triumf; w rozwłóczonym jęku,  
Kto odpowie, prócz łoży, gdy ogłuchły surmy;  
Słowa szeleszczą, piachy, sypane do urny.  
Przełamano przysięgi, załamano dłonie,  
Nikt nie wskrześnie, rycerzu, by stanąć w obronie  
Wielkości, co zabija. Tam szumi dąbrowa,  
Jak szumiła przed wiekiem, i zamikłe słowa  
Powracają na usta niechętne, grymasem  
Sznurowane, jak wolność, zrodzona przed czasem.  
Braterstwo! Ludów równość! I czystość człowieka!



Czemu wiatr ponad brzegiem, jak przechodzień, zwleka  
I przedrzeźnia umarłych, gwizdzący w wierzbiny  
Melodyjne fujarki, jak w pustkę godziny?  
O zmierzchyl! Ponad nurtem któż żalność wygada,  
Aby uderzyć w piersi, jak krwi struga śniada,  
I omyje strumieniem pojednanej Lety?  
Cypryanie, zmilknij! Oto martwa dłoń poety,  
Udając życie, lutnię z zaświata przywabia —  
A ty odpływasz zwolna, jak kadłub korabla,  
Wieńczony w laur, przebity, nieskalany, nagi —  
— W łunie gorzkiej, jak piotun, płoną dachy Pragi.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

DON KICHOT

W kłębach we mgłach stępa — — —  
Jak posucha  
dotknęła mnie trwoga.

Od kopij od kopyt  
szlak wygorzały zanosząc się drzy,  
twarz kryje półmrok albo przyłbica...  
Lecz postać? Poznaję cię. Ty.

Serce z boskiego żaru.  
A we mnie  
gotuje się płacz, parząc krtań — — —  
Czyż bohaterstwo  
wyjść nam poetycznym, ostatnim z La Manczy? !  
Don Kiciaocie, zatrzymaj się, stań...

Drzy kopją schylona — napłęty nerw —  
Otworły się rany — — —  
nie świta —

Sny, duszne sny.  
W pętli wichrów drętwiąc, okolica rzezi.  
Taka noc ze stu nocy lita.  
Widzisz. A ty?

Walka, walka!  
Szalony, gdzie stawiasz nogę?  
Naszym czasem odbito dno.  
Zalewają bezdennym chaosem.

Mijamy się! — — — — —  
— — — — — Kto?

## JÓZEF CZECHOWICZ

### W B O J U

przez mokre oka sieci horyzont  
padało są chmury i obłoki szrapneli  
po ulewie dzień świeci ryżo  
burzy podjudza zblakłą zieleń

młodziku a tobie żal że wsparty o koło jaszczka  
chorąży zamknął powieki  
książka o to jest złote widmo zbląkanym w bitwie u rzeki  
każdy ją strzał zaprzepaszczka  
młodziku widzisz bój ale tak jakoś płasko  
strzelają broczą biegną krzyczą  
pocisków ptactwo  
nad okolicą

W grzmocie bliskiej baterji opadła za liściem liść  
na hełmy na niski okop  
kto płosnki nuci pocichu odgania o śmierci myśli  
to ważne gdy spotka się ją oko w oko  
nie myśleć jezu nie myśleć  
a dobrze to utonie  
w przypominaniu wizyj, które się nie wyśniły  
pierwsza pod białym portykiem pałacu pałac płonie  
dziewczęta w nimbach zarzynają łabędzia srebrem pily

druga skrzypce świergocą ze strun czterech do słońca  
wysnuwa się jasność w nitkach samogłos je potraça  
muzyka parzy pod sercem jak kula

w trzeciej wizji mocarze stanęli na planetach  
stanęli globy w krzepkie ujęli ręce  
rzucił planetą on zamierzyła się i kobieta  
przez chmurę  
otchłań pociskiem spruła

słosz wizje wyptył z tej przędzy  
uważaj odstrzał przelot granat uderzą tuż  
i oddudniło w gruncie i ziemia nagle wgórę  
płomienie klaszczą w powietrzu pionowemi deskami z róż

i już nic więcejj

## M E T A F I Z Y K A

- oto stąpamy zaledwie wzrokiem po drzewach,  
spojrzenia płaczą się w taniec,  
coraz się więcej ciszy namula —
- oto przez ciało sen się przesiewa,  
krajobraz się w smugę scala :  
w dym blasku —  
łagodna śpiewa kula —
- myśli się myślą jak złote ryby,  
ryby na dnie stawu,  
ryby z cienkimi skrzelami,  
ze zlelonemi płetwami :  
leniwą schwytane obławą —
- i oto teraz zwyczajny człowieku,  
nic nie jest dla ciebie sekretem,  
zgadzasz się chętnie, że wino księżycy  
przerabia cię z wolna w poetę —
- skóra ci schodzi, jak łuska, mięśnie różowe kwitną jak puch,  
nerwy się palą : lampiony,  
w widzenie mistyczne  
owija się larwa :  
duch —
- i oto wszedłeś nad pianą tajemnic  
cichy i lekki i wlotki  
i nieszkodliwy nikomu —  
otoś jest bliski roślinom  
otoś jest bliski snom :  
mózg zagaś, serce rozlało się w płamę —  
duch  
odpłynął  
do domu  
w metafizyczny zamęt.



D Z I S N A

Miasteczko zdaleka wspomnieniami przyzywa:  
 dymiły słodko wiatry włosenne w lipowych grzywach.  
 Szły razem w niebo: kościelny krzyż i cerkwi zielone kopuły.  
 Wzburzone przepływek kry, rzeki bryzgały mułem.

— — — — —  
 Listopad w parku krzyk ciszy samotnej zapalał —  
 wówczas oczy wybuchały goryczą żalu.  
 Księżyc — kawał srebrnej blachy —  
 bełtał ostro w bulgocie brązowym Dżwiny,  
 strachem  
 w korytach mrocznych uliczek płynął.  
 W zastygłym powietrzu nieruchome klony  
 pleściły nad cmentarzem kołujące wrony.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

E C H O D O L I N O M

Nie wierszem szalonym w ciebie uderzam  
 pustynna ziemia moich plemion —  
 napaścią i falą, odbitą od fal.

Huczące stulecie za głową leży  
 jak skrzydło z piór orlich u hełmu,  
 płomień pędu niebo dzikie podpała.

Porą posępną nadlecisz zamiecią  
 historjo —  
 kroki uderzą o bruk  
 i bramy z murów jak szyby wylecą,  
 szeroka rzeko!  
 Spod garbów górskich młode jodły rosna,  
 wzdęte strumienie biją o granit —  
 w nagłym wierszu odrzucam dolinom  
 echo.

Nad wsiami siwe włosy dymu  
 jak zmierzchy niskie —  
 A nocą ciężkie lipy dyszą  
 przez ulewę snu.

ROZMAWIAMY WIECZOREM

W wielkiem mieście, gdzie w lewo żelbeton  
przeogromną rośnie piętrowiną,  
w prawo, dzwonięcie podpływa do nóg  
migotliwe jak pluski, przepłuski na wodzie.

Mówię:

Śluchaj, jeżeli za przesłoną z betonowych ścian  
słodko powlewa wiatrem od morza modrzewi,  
trzeba rozpętać rewolucję zórz  
i jasną świecę zaświecić  
w róż różowem lustrze.

Powiedziałeś:

Jeżeli co wieczór płonie drabina barwnego zachodu  
czemżeż jesteśmy my?  
Młodo nam — prawda — przez bzy umiemy patrzeć,  
ale to wszystko potrafi zatrzeć kościsty palec w sny  
wnikający, nitką nagłego chłodu.

Odpowiedziałem:

To, co się pali poza nami jest..  
jest filozofją pozazmysłowych, nieuchwytnych zdarzeń —  
radzę, realizm zwykły jak podeszwa,  
oberwany z zielonych liści i białych kwiatów.  
Nam nie czas czekać na wędrówkę świtów —  
nam dzień salwą gołębi daleką i szeroką —  
nam nośna woda i stalowy dźwigi!  
Wtedy dopiero poezja nowa  
ciepła, jak dobrywieczór.  
Wtedy dopiero my, śpiewający węglowo i twardo —  
z pogardą patrzący na muz długi pochod —  
wtedy dopiero my, weseli robotnicy wstającego dnia —  
wtedy nareszcie „Ach!“

Przepraszam:

A czy patrzyłeś już,  
w wiosenne oczy bzów?

POWIETRZNY NIESTATEK

Otom Cię dotknął  
na białej wodzie dnia  
niestatkim tknięte  
serce.

Huczy  
otchłań topolami podparta,  
w zielone włosy trawy dmucham —  
— drżą.

Po suchych iskrach wichru palcami sune,  
jeszcze cień napotykam,  
mleczem chmur ogarnięty  
własnego cienia łodygą  
cieknę.

— a tu w trzepotach krwi  
kołowało opuchte mleko  
ból trzaskiem w stawach dygotał  
w popłochu nieba gnały  
strach oczodoły drążył,  
dołem —  
pusto.

Aż oto:  
zmył z obłoku ziemię  
wygarniam  
jak sieć.

Wkłęś arkusze pól  
(o zapomniana liłości)  
dróg ściegi lśnią,  
lasów fryzy  
nagim spłynęły kręgiem.

Nożycami wykrojone koło!

— nad tobą  
przestwór — niebieskie szkło  
ostrzem nożyc skrzydlatych  
podcinam!  
— nad tobą  
w srebra pracowitym śpiewie  
głoszę dnia, sekundami rwaną  
radość  
— nad tobą  
w iskrach chwil przepadających  
spalam serca niestatek  
— lotnik.



WACŁAW MROZOWSKI

K U S Z E N I E

Zamknij te drzwi  
Nie przechódź przez próg na stronę białą gdzie masztem wbity cień stol  
Sosny — spartańskiej dziewczyny.

W taką noc zarzucają uroki na szyję  
chłopcom jak ty.  
Tęsknego żalu drzew żaden śpiew nie ukoi  
nie ukołysze nikt. —

Z liścia na liść podawać go będą, z igły na igłę.  
Dziewcząt piękny korowód nad strugą ryby łowi i sny —  
z pogańskiego cmentarza wieje groźny chłód  
srebre włosy wilgotne od łez  
chodź — i zanurz w siność gęstych wód.

A sosny jak wschodnie dziewice klękają na piasku białym  
a u ich kolan mak wzrasta  
i wiatr nad głowami szumi.

Więc zamknij już  
zamknij te drzwi.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

W I E C Z Ó R

Dziś świat spuszczonej z łańcucha jak nagłetek się zwinął u płotu,  
a zmierzch jest barchanowy.

Powoli pastwiskiem żydówki wracają do miasta,  
w cyniakach dźwigając ser,  
a Rachel rękami obrywa księżyc dojrzały i złoty.

Jest spokój. Cyganie obwozą dzięgieć. Dymi daleką łąką ter.

Kowal, dziecię ugorów,  
osiką pod noc narasta.  
Kozikiem na niebie gwiazd naclął,  
wodą rozkopane bruzdy poganía.

Zsunął się niebem wóz storczykami wysłany,  
i gęsty mistrz obwieszony u okna jak obłok lub ośnik  
podniósł rozworę  
jak pacierz;  
nie tknąwszy osł,  
wóz nadźwignął na bok.

WRZESIEŃ

sierpień biały — żniwa i miedza  
kwitną w polu gorące żyta  
owies wzrokiem zdziwionym chwytam  
gdzie zdyszane zające siedzą

ziem przecuciem — sierpień odchodzi  
smutnym dźwiękiem w wrześniowe brzemię  
to słonecznik mosiężny drzemie  
zapatrzeniem lipcowych godzin

ogród szczęścia — zsypanych kłosów  
pogubionych latem wśród pól  
w rdzawej miedzi obwisłych włosów  
ciężą grona soczystych kul.

JÓZEF STACHOWSKI

ZBUNTOWANY WIERSZ

Życie na zbuntowanym łbie podnieść  
podstępnie  
w gardziel wplijając ostrza kłów —  
wiem,  
że wiatr ma na plecach bęben,  
pstre grzechotki u nóg —  
w oczy straszyciszą  
i — — —  
do białek gna nici krwi.

Niech spadają na serce wąskie pasemka  
— to nie kropie jarzębin miękko w rudy mech,  
to pliszę wiersz  
bardziej słny niż twarz wisielca  
wtedy w lesie.

Słońce rozbiłem jak kurze jajo o mętną tafłę nieba,  
nie przecedzisz go gałęzmi drzew —  
głowę targam jak stryk,  
szyl ciemność  
przez rzęsy czerwona ulewa.

I byczy kark tężeje w burej klatce,  
w oknie jastrząb chesze brwi —  
echa nie starczy  
gradobicia słów  
wargom

FRAGMENT

Stół nakryty rymami wiruje wśród słów,  
Okrągły, przysadzisty, jak bęben,  
Obraca się wśród stuku, i głos daje tępy.  
Wskazówka z przerażeniem od liter do głów  
Skacze, wyznacza drogę:  
Tędy,  
Tędy.

Grzmi alfabet, i słowa już skupić się mogą —  
W mózgu dźwięk gwiazd dyktatorskich.  
Splot rąk twardy — oczom złoty order.  
Słowo stuka jak pieniądź w głów hordeę.  
Oczy przyciska pieniądź, jak pieczęć:  
Eolska, eolska,  
I inne smutne słowo jak zmarłe się wlecze.

Nad stół zbity rymami, skulony wśród słów,  
Wzbiły się z mózgów węże, czujne, prostostrunne,  
Jak płomienie wyrosłe z lodowatych głów,  
Czekające — na słowo, kiedy złotem dźwięknie.  
Aż dźwiękto — gdy w Derwida czoło, jakby w trumnę,  
Nóż wbił się — i gdy oczy skrwawione w stół kłasy.  
Krew ocz zastygła nagle w złotych krążków hasła,  
I dźwięk monet po stole siekł pięknie.  
Aż węże naraz drgnęły, rosące u głów,  
Sycząc zaczęły złotu i krwi chciwie mlaskać,  
I ślad ślisko nakryły, jak kurhanem słów.

Eolska!  
Głos lancetem zadzwonił Lombrosa,  
Stał w stół padła, jak w stępiony mózg.  
I tylko chłodna groza,  
Jak żab skok, jak węzów pośród bagna plusk.  
Błyska krzyż zgięty, błyska młot i sierp.  
Głos stuka, i stukania wypelza diagnoza,  
Alfabet grzmi, i wzbiera dźwięków zgniła magma.  
Rozkwita smutne, wielkie słowo w ścieku ścierw,  
Jakby z trupa Wenedy zmartwychwstała Roza.



Z POEZJI UKRAIŃSKIEJ

PRZEKŁAD CZESŁAWA JASTRZĘBCA - KOZŁOWSKIEGO

EWHEN MAŁANIUK

To nie był bój. Ochłapy siekł potężne  
katowski nóż. A tyś — jęczała jeno.  
Huczały dnie burzowe i orężne,  
ognisty wicher Historję wwiął na scenę,  
tętniła ziemia i wołała: „Prowadź!  
Rozgorzej buntem, własne usyp kopce!”  
A tyś się wzięła dała ukrzyżować,  
by ran posoką miedze znaczyć obce.

To nie był bój, lecz szamotanie babskie  
pod tucznem ciałem obmierzonego wroga.  
W upiornym mroku swojej nocy rabskiej  
modliłaś się, płakałaś ty do Boga.  
Modliłaś się... a słodka chuć cię pali,  
w otchłanie wabiąc parne i bezmocne.  
... I mdli Polanie twoi zmarnowali  
te sądne dnie, te noce wielkanocne — —

Z POEZJI NORWESKIEJ

PRZEKŁAD JÓZEFA MONDSCHHEINA

KNUT HAMSUN :

WYSPA ŚRÓD SZER

(„SKAERGAARDSOE”)

Pędzisz na łodzi —  
Ku wyspie w szerach,  
Ku wyspie w morzu,  
Z zielonym brzegiem.  
Rosną tam kwiaty  
Ukryte oczom,  
I patrzą dziwnie  
Za łodzi biegiem...

I morzem z baśni  
Jesteś me serce :  
Z takłemiż kwiaty —  
Jak tu śród szer.  
Żyją tam głosy,  
I szepty ciche  
Całunki spotkań,  
Powitań szmer.

Nie byłłem ongiś  
Już tu o świecie,  
Białą spiraeę  
U brzegu rwąc?  
Poznaję woń jej  
Znaną mi zdawna,  
I znów przypadam  
Ku zjawie, drząc...

Zwarły się oczy,  
Opada głowa,  
Schyla mię nisko  
Wspomnienia cud.  
Nad wyspą cienie  
Gęstnieją nocne,  
A szum Nirwany —  
Łka w bezkres wód.

## KOLUMNA DEBJUTÓW

Wznawiając kolumnę debjutów, z większym, niż poprzednio, spokojem patrzemy w wiersze młodych. Nie spełniły się przewidywania krytyków. Młode talenty rosną, i napewno wstydu poezji nie przyniosą. Atmosfera przychylności — nie pobłażliwości — sprzyja rozwojowi, wyznacza prostolinijskość wzrostu, — to, czego brakowało młodemu poetom dawniejszym, w niezdrowej atmosferze koteryj i zamkniętych bram. „Okolica Poetów” przeszła już przez rzyty tych dumnych krytyków, którzy zapelniają czasosolsma kiepskimi wypracowaniami, i krzyczą: „poziom, poziom”, a inni „pion”, „pion”. Największy Człowiek współczesności po skiej z niesmakiem wyraził się o naszej manji żądania najwyższej doskonałości przy równoczesnem maltretowaniu tych, którzy mogą osiągnąć żądany wysoki poziom. „Okolica Poetów” nie obawia się zarzutów niedoskonałości, jest pismem niedoskonałem, ale jest pierwszym w Polsce pismem poetyckiem, które zmierza do doskonałości najtrudniejszą, ale najwłaściwszą drogą. Ci, którzy pójdą z nami, wypracują dla przyszłej Polski poezję prawdziwą.

JERZY KAMIL WEINTRAUB

### BALADA

#### 1. Olga.

Jest wieczór bladozielony. W dali ktoś gra na fujarce.  
Kontury gór ciemnoszare chmurami pachną wilgotnie.  
Olga jest smutną dziewczyną i stoi samotnie w oknie  
Olga ma oczy głębokie i długie, białe palce.

Gwiazdy znikają w szarości jak w wodę rzucone kamienie.  
Czernieją blade kontury. Umilka śpiewna fujarka.  
Olga ma niebo w swych oczach i wilgoć nieba na wargach  
i obraz świata przymglony zamyka w głębi swych źrenic.

#### 2. Ktoś.

Ktoś czuje w głębi niepokój. Śląda przy oknie i pisze:  
— księżyc elipsoidalną łysiną na niebie łyska  
— gwiazdy są dziś podobne przelatującym iskrom,  
niknącym właśnie w dzisiejszej bladozielonej ciszy.

Ktoś siedzi przy oknie i myśli. Nie może pisać już więcej,  
i widzi w dali wieczoru Olgę przymgloną i smutną.  
Płynie wieczorem samotna i w jego stronę nie patrzy.  
I tylko widać zdaleka jej chude, białe ręce.

#### 3. Ja albo Post-scriptum.

Nie mogłem pisać tej nocy. Noc była pięknie bolesna.  
Niepokój wezbrał jak pełnia. I nawet zasnąć nie mogłem.  
Nie wiem jak to się stało, że wymyśliłem Olgę,  
Olgę przymgloną i smutną: dziewczynę której nie znam.

## ROZMOWA Z GEORGIEM TRAKLEM

Jeżeli patrzą w ciemność twoje wielkie oczy,  
jeśli ciszę zajazdu nazwałeś milczeniem,  
to znak, że się schyliło wyniosłe czoło nocy  
ku oknu, jak ku kablinie okrętu,  
którym morzem wieczoru płyniemy  
w przestrzeń horyzontem z czterech stron zamkniętą.

Jeśli milczenie, co drażni jak nieskończony wiersz  
zdało się nagle dzisiaj lepkiem jeziorem bez dna  
i jeśli wymówiłem niewymawlane smutne słowo... — Boże.. —

to znak,  
że płyniemy w śmierć,  
że trzeba smutną twarzą poza siebie spojrzeć.

To dziwne, że tak młody a często patrzę za siebie.

Ludzie o jasnych oczach i o wyraźnych twarzach  
mówią, że trzeba żyć i patrzeć prościej —

...i odnalazłem siebie w jesiennym smutnym drzewie:  
ja też rozkwitłem buntem a więdnę samotnością.  
To się zdarza.

Bolesna ma bezradność i wiedza, że nic nie wiem.  
Milczenie, które przyszło, plecy w łuk smutku zgięło  
i przesłoniło oczy i przybliżyło dno...

O!: — gdybyż nie być z tobą, nie patrzeć w siebie, w ciebie,  
zapomnieć ciszę, siebie, zapomnieć ciebie, Georg,  
zamknięte drzwi zostawić  
i spojrzeć twardo w noc!

## R E C E N Z J E

TADEUSZ PEIPER. POEMATY (ZBIÓR). 1935. Koło wydawnicze „Teraz”. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Str. 176.

Biblioteka klasyków Awangardy zyskała podstawowe dzieło. Zbiór poematów Peipera, jakkolwiek ostateczną pozycję przyzna mu legenda zwana historią literatury, będzie otwierał tę książnicę dostatku i niewykończeń, przerostu i zawikłań, odkryć i błędzeń, zwanych niezawsze słusznie Awangardą; — nadużywa się słowa „awangarda”.

Książka Peipera jest dziełem godnym szacunku, przedewszystkiem jako wyraz oryginalności twórczej, pozbawionej zapożyczeń. Może ta ory-

ginalność nie odpowiadać wielu ludziom, może wywoływać sprzeciw i najostrejszą krytykę, — ale to inna sprawa. Utworom Peipera nie można wyznaczać poprzedników, nie można odkrywać w nich znanych, i przez to często miłych, — podzwłków, — i to jest jedna z przyczyn, że narazie nie zaznają popularności.

Wokoło osoby Peipera zgromadziły się legendy i nieporozumienia. Z niektórymi rozprawia się autor w przedmowie, czasami może zbyt ostro. Nie uwzględniła nędzy polskiej myśli poetyckiej i krytyckiej. My wszyscy mamy w sobie ogromnie wiele tej nędzy, i — mam wrażenie — nieprędko z nią się rozstanjemy.

Z tej naszej nędzy wyrosła błędna opinia, że poezje Peipera były ilustracjami jego teoryj poetyckich. To błąd stanowczy. Mogę tak twierdzić, gdyż sam go popełniałem. Dopiero własne doświadczenie pouczyło mnie że nie może być teoretykiem ten, kto przedtem nie był poetą. Teorja twórcza, odkrywca — nie szkolarskie, podręcznikowe sformułowania — powstać może tylko w umysłach opętanych poezją, po długoletnich doświadczeniach, przemyśleniach, niemal natchnieniach. Nasze tradycje w tym zakresie były bardzo mizerne, prawie nie pojmowaliśmy tego zjawiska, — jeszcze do dnia dzisiejszego sprawia nam trudność. Należy uwolnić się od tego nieporozumienia, a Peiperowi przyznać, że jest istotnym poetą, nie ilustratorem własnych teoryj.

Czytając na nowo poematy Peipera, nie mogę się oprzeć wrażeniu, któremu dałem wyraz w art. „Kroki ku epice” (nr. 3): że Peiper, i ci, którzy za nim podążyli, klucząc, szli nie tyle ku nowej liryce, lecz raczej ku odnowionej epice. U Peipera kroki ku epice są aż nadto wyraźne, i wkońcu poeta do epiki dochodzi całkowicie. A ci, którzy poszli za sztandarami Peipera, dobili również lub dobijają do epiki. To nie jest specjalne wletrzenie epiki przeze mnie — jak twierdzi Maśliński — lecz należyte uchwycenie drogi rozwojowej Awangardy krakowskiej, co powinno usunąć wiele nieporozumień. Sam Peiper nie tylko doszedł do epiki, ale zapowiada wielkie dzieło o zakroju eposu. A Kurek? — w liryce był właściwie tradycjonalistą, dopiero w oddechu epickim poematu „Usta na pomoc” przejawiał się jego awangardyzm. Wreszcie Czuchnowski i jego epos chłopskie! Najmniej może Przyboś w ostatniej fazie (Wgłąb las), — są jednak wszystkie dane do horoskopu, że również pójdzie tą drogą; zresztą już zapowiedział poemat. To nie są przypadki, ani prawo serji, lecz naturalne następstwo rozwoju Awangardy.

Ograniczony miejscem, rzucam te uwagi tylko dla przykładu, jak wiele ważnych spostrzeżeń nasuwa książka Peipera. Nie zachwygam się poematami Peipera; dla mnie nie są już liryką, a nie stały się jeszcze epiką, ta nieokreśloność nie odpowiada mi, — nie mniej jednak uznaję ich ważność ich poezjotwórcze znaczenie, historją lat ostatnich dostatecznie zresztą potwierdzone.



MARJA JASNORZEWSKA (PAWLIKOWSKA). BALET POWOJÓW. Warszawa 1935 J. Mortkowicz. Pod znakiem poetów. Serja nowa. Str. 46 i 2 nl.

Wiersze wieku „męskiego”, w których niema już buńczucznej jędrności „Niebieskich migdałów” lub „Różowej magji”. Ale nie oznacza to klęski; chociaż spotykamy w tomiku niejedną ryś, jakby zwiastuna możliwości klęsk przyszłych. Zresztą, może to tylko złudzenia. Przeważnie niewiele się zmieniło w porównaniu z tomami poprzednimi. Może tylko bardziej wyraziście nakreślone kontury niektórych poemacików, natomiast barwa jakby mniej pawiooka, więcej szara. Całość, jak dotąd: — drobiażdżki, dosyć ładne, to trochę staroświeckie, to pół serjo, pół zartem „szatańskie”. Nie mam odwagi nazwać tych rzeczy arcydziełami, a jeżeli są, to przeplatane prozaizmami, półdydaktyzmem i retoryką. Czystość liryczna często jest macona przez te postronne czynniki, a zgrabna pointa nie zawsze szczęśliwie wiersz kończy. Utało się mniemanie, że wszystko, co Jasnorzewska napisze, należy do małych arcydziełek. Nie chcę wczambuł chwalić wszystkich wierszy „Baletu powojów”, ze względu na wyszczególnione powyżej rysy. Nprz. „Namiętna ziemia” jest właściwie rymowanym opowiadaniem, wiersz ten pozbawiony rymów stałby się feljtonikiem o dydaktyzmie w rodzaju Konopnickiej. Obok prawdziwie poetyckich utworów, (choćaby nprz. „Crepuscule”) spotykamy pyłkowość, czy atomowość innych, quasi-japońskich, które posiadają za mało samowystarczalnej treści, by nie były pograniczem między poetycznością a poezją, nprz. „Finał”. Obok prawdziwej poezji lotniczej w „Loxodromie” całkowity banał i tromtadracja w „Usarzu skrzydlatym”. Obok sugestywnego „Kochejlana” poprawna ale tylko poprawna kochejlanka „Emira Rzewuskiego”. Niewątpliwie, czarujące drobiażdżki decydują o wartości „Baletu powojów”, może jeden z nich wystarczyłby dla usprawiedliwienia wszystkich dodatkowych, nieudanych „kawałków”. Z tych racyj „Balet powojów” przynosi trochę zawodu. Jasnorzewska, jako poetka, to „venefica et striga”, i w tej roli nas czaruje, ale gdy występuje jako „staroświecka pani z Krakowa”, częstując nas pewnym morałem, tworzy, szczerze mówiąc, kicze.

JÓZEF ŁOBODOWSKI. U PRZYJACIOŁ. Biblioteka poetycka „Dzwigarów”. Lublin - Warszawa 1935. Str. 123 i 5 nl.

Autor „Rozmowy z ojczyzną” jest entuzjastą i znawcą poezji rosyjskiej. Książka „U przyjaciół”, wydana w znamiennej ilości stu dziesięciu egzemplarzy, jest zbiorem tłumaczeń utworów Lermontowa, Błoka, Jesienina i Majakowskiego. Pokażny tom, a przecież nie objął przekładów z Niekrasowa, Wołoszyna, Gumiłowa, Puszkina, Briusowa i Pastiernaka, gdyż — jak wyjaśnia autor — „najsilniejsze nawet uczucie nie potrafi wpłynąć na ceny papieru i koszt druku”. Wartość przekładów powinni oznaczyć znawcy poezji rosyjskiej. Tłumacz w końcowym wyjaśnieniu informuje czytelnika o metodach pracy: „Przekładając, nie zawsze przestrzegałem wierności. Sądzę, że najważniejszym zadaniem tłumacza jest utrafienie w poetycką atmosferę utworu. Tam, gdzie zbyt pedantyczna wierność nadweręża wartość utworu, nie należy krępować się tym mało przekonywującym postulatem”.

Książka Łobodowskiego jest niewątpliwie cennym nabytkiem. Na marginesie jej wydania nasuwa się jednak aktualna może uwaga. Przydałoby się porozumienie między tłumaczami, by jedne i te same utwory w jednym i tym samym czasie nie były wielokrotnie tłumaczone. Tak się zdarzyło, że ostatnio nprz. ballada Lermontowa „O carze Iwanie Wasyłowiczu, młodym opryczniku, i udałym kupcu Kałasznikowie“ została spolszczona przez Słobodnika i równocześnie przez Łobodowskiego. „Ogród słowiczy“ Błoka przełożył niedawno Jaworski, taksamo poezje Jesienina. Przydałby się podział pracy. Niektóre utwory latami czekają na przyswojenie, inne znów tłumaczone są wielokrotnie. Nprz. słynny „Lis, Jesienina tłumaczony już był tyle razy, że możnaby z tych przekładów zestawić cały tomik. Zresztą wiersz bardzo trudny do przetłumaczenia, to też niezależnie od sprawy celowości ciągłych jego przekładów, warto przy sposobności porównać wyniki. Najtrudniejszy końcowy czterowiersz u Łobodowskiego otrzymał następujące brzmienie.

W śnieg pożarem żółty ogon spłynął,  
w słabym pysku zgnitej marchwi smak ...  
Pachło szronem i spaloną gliną  
i ściekała krew z rozbitych warg.

Ten sam urywek w tłumaczeniu Leonarda Podhorskiego — Okołowa posiada odmienną rytmikę:

Żółty ogon padł pożarem w zamieć śną,  
W pysku posmak — jakby marchwi zgnitej śpiew ...  
Wiało szronem i pachniało cierpko gliną  
A zmrzniętym oczu zalewała zwolna krew.

A Kazimierz Andrzej Jaworski spolszczył w ten sposób:

Żółty ogon padł na biel pożarem,  
W ustach jakby marchwi zgnitej smak.  
Pachniał śnieg i mokra glina w zmroku szarym,  
a w oczach szpary zwolna sączyły się krwi szlak.

Wreszcie jeszcze jedna próba — Eugenjusza Morskiego, — by uwydatnić rodzaje odstępstw w poszczególnych przekładach:

W śnieg pożarem rudy ogon padał  
Wargi jakby stęchłej marchwi miąższ  
pachną szronem i glinianym czadem  
a na oczy krew napływa wciąż.

Powyższe cytaty poniekąd usprawiedliwiają nadmiar tłumaczeń tego samego wiersza. I usprawiedliwią również następców. Ostatni dwuwiersz zawiera takie nagromadzenie trudności, że niejedynemu jeszcze poeta będzie próbował im podołać.

STANISŁAW CZERNIK

## NOTY

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI wydał pod znakiem „Okolicy Poetów“ poemat „Powrót na Powiśle“. Fragmenty poematu drukowane były poprzednio w „Skamandrze“, „Poproście“ i „Okolicy Poetów“ (nr. 4/5 i 7).

**KONKURS POETYCKI.** Jury konkursu w osobach Stefana Flukowskiego, Stefana Napierskiego i Stanisława Czernika, po zbadaniu nadesłanego materiału, jednomyślnie postanowiło nie przyznać pierwszej nagrody. Nagrodę drugą (50 zł.) postanowiono podzielić na dwie części i przyznać: 1) utworowi „Świt” (godło „Dom”), 2) utworowi „Boże Ciało” (godło „Lilja”). Nagrodę następną (25 zł.) przyznano utworowi „Sielanka” (godło „Dziwożona”), wreszcie nagrodę czwartą (25 zł.) utworowi „Pożegnanie lata” (godło „Postaw”).

Po otwarciu kopert okazało się, że autorami nagrodzonych utworów są: 1) Józef Stachowski z Garwolina, 2) Jan Bolesław Ożóg z Nienadówki, 3) Wacław Iwaniuk z Chojna - Starego, 4) Seweryn Pollak z Warszawy.

Jury wyróżniło utwory następujących autorów, których wymieniamy w porządku alfabetycznym: 1) „Przedział” Alicji Iwańskiej z Warszawy (godło „Inter”), 2) „Poemat o mojej śmierci” Leona Machtingera z Warszawy (godło „Notabene”), 3) „Noc na wsi” Mieczysława Żytki z Warszawy (godło „Wigott”). Autorowie utworów wyróżnionych otrzymają nagrody w postaci rocznego bezpłatnego abonamentu „Okolicy Poetów”.

Konkurs obesłany był nielicznie i przyniósł naogół skromne rezultaty, pozwolił jednak młodym poetom w szlachetnym współzawodnictwie ubiegać się o symboliczne raczej nagrody. Nieprzyznanie pierwszej nagrody jest miarą wysokich wymagań, stawianych przez jury, przyznane dalsze nagrody i odznaczenia wyrażają znowu przychyłne ustosunkowanie się członków jury do młodych talentów, dla których nasze skromne wyróżnienia niech będą powitanem na trudnej drodze poety.

**DRUGI KONKURS POETYCKI.** Pozostałą z pierwszego konkursu sumę stu złotych jury przeznaczyło na wydanie tomiku wierszy debiutującego poety. Nagrodzony zbiorek zostanie wydany jako następny tom „Biblioteki Okolicy Poetów”. Termin nadsyłania utworów — do 1 lutego 1936 roku. Objętość zbiorku musi być tak obliczona, by nie przekraczała objętości zwykłego numeru „Okolicy Poetów”. Dalsze szczegółowe warunki konkursu ogłosimy w numerze następnym.